Janina Łagoda

Na przestrzeni dziejów, po tragicznych upadkach, Rzeczpospolita się odradzała. Różne były okoliczności tych zdarzeń, ale zawsze jutrzenka swobody stanowiła zaczyn dla organizatorskiego wysiłku narodu, a nade wszystko inspirację w definiowaniu określonej formuły obywatelskich wolności. Tak było w zdarzeniach ostatnich blisko stu lat, ale rok 1918 epatuje nadzwyczajnością, bo dar niepodległości zstąpił po z górą 120. latach niewoli, zaś graniczny obszar odzyskanej Rzeczpospolitej przesiąknięty był zaborczą trójpolówką, z którą należało się szybko rozstać. I to się udało, ale późniejsze zawiłości, miast nadziei epatowały pesymizmem zwieńczonym wrześniową klęską i kolejnym wyzwoleniem w 1945 roku.

## Niepodległościowe obchody

Nie ma wątpliwości co do tego, aby rok 1918 traktować z pietyzmem. Ale to właśnie w oprawie świątecznego dziękczynienia od zarania zaczęły pojawiać się zgrzyty, których siła pomruku i dzisiaj udziwnia atmosferę społecznych relacji.
Obchody, które na początku miały charakter wojskowy organizowano w pierwszą niedzielę po 11 listopada, tj. w dniu, kiedy Rada Regencyjna powierzyła dowództwo nad armią brygadierowi Józefowi Piłsudskiemu. Z powodzeniem mogłaby być inna data mieszcząca się w tamtych niepodległościowych wydarzeniach, jak chociażby dzień 7 października, kiedy wspomniana Rada ogłosiła niepodległość Królestwa Polskiego, albo 13 listopada, gdy Komitet Narodowy Polski w Paryżu pod przewodnictwem Romana Dmowskiego został uznany przez Francję za rząd polski de facto i włączony do grona zwycięzców. Jest jeszcze sporo innych równie ważkich dat, które wżynają się w tamten niepodległościowy awans. Duchowość wybranego dnia naznaczała jednak osoba J. Piłsudskiego z komilitonami, a to siłą rzeczy ciążyło na oprawie święta. Z drugiej strony trudno racjonalnie uzasadnić wojskową formułę dziękczynienia. Polacy wprawdzie walczyli na frontach pierwszej wojny światowej, ale pod rozkazami zaborców, ginąc często w bezwiednej bratobójczej strzelaninie w imię obcych spraw. Dopiero Powstanie Wielkopolskie zintegrowało walecznych, którzy w patriotycznym odruchu odmówili posłuszeństwa zaborczym dowódcom, wzmacniając sprawę Polski w dyplomatycznych przetargach państw Ententy.
O kształcie naszej niepodległości ważył jednak klimat negocjacyjnego stołu, mniej frontowa strzelanina.
Pierwszy raz w pełni uroczyście obchodzono odzyskanie niepodległości 14 listopada 1920 roku, tj. w dniu uhonorowania Józefa Piłsudskiego, jako zwycięskiego Wodza Naczelnego w wojnie polsko-bolszewickiej, wręczając mu buławę marszałkowską. Program uroczystości wypełniła m.in. msza św. na pl. Zamkowym, salwy armatnie, defilada wojskowa na Krakowskim Przedmieściu etc.
W następnym roku obchody związano z odnowieniem Orderu Orła Białego, a w kolejnym z przyznaniem tego orderu prezydentowi Stanów Zjednoczonych Thomasowi W. Wilsonowi.
Od 1923 roku kolejne rocznice zaczęły nabierać rodzimego rytu, znaczonego politycznymi odrębnościami. Oficjalne obchody były ignorowane przez Narodową Demokrację, ugrupowania lewicowe, część chłopskich itd., które obstawały przy własnych wizjach upamiętnienia tego wydarzenia, np. powołanie w dniu 7 listopada rządu lubelskiego Ignacego Daszyńskiego.

Rozpoczął się więc otwarty przetarg z iluzorycznym wadium w postaci pretensji do zawłaszczenia święta niepodległości, zostawiając na uboczu kontekst międzynarodowy tego wydarzenia, tj. istotę decyzji Ententy, wyznaczającej nam geograficzne granice z prawem do zagospodarowania ich wnętrza. Przyjęliśmy to z radością, ale euforię związaną z tym świętem kierowano mniej na budowanie potęgi RP, co na front wojny polsko-polskiej. Tej tradycji pozostajemy wierni do dnia dzisiejszego.
Oprawę świętowania odzyskania niepodległości od zarania wystawiano na publiczną chłostę. Z trudem wypracowano sejmową decyzję z dnia 23 kwietnia 1937 roku, a więc już po śmierci Naczelnika, o ustanowieniu 11 listopada jako oficjalnego święta państwowego. W tej formule zdążono zaledwie dwukrotnie czcić tamten dzień przed kolejnym zatraceniem Rzeczpospolitej. Do dziś trwają spory wokół przyczyn wrześniowej klęski, ale to już odrębna kwestia.
Po II wojnie światowej wypracowywanie konsensusu wokół święta trwało jeszcze dłużej, bo blisko 45 lat (od 1945 do 1989 roku). Sprawę komplikowała nazistowska okupacja i wyzwolenie spod niej, a więc kolejny ważki fakt w dziejach naszej swobody. Paralela obydwu wydarzeń, to już emocjonalne targowisko. Dzisiejsi władcy wolą idealizować międzywojnie i epatować emocjonalnymi pokłonami wobec rządzących w tamtym czasie, a mniej poruszać się w realiach. Romantyzm rozpala, zaś wątpliwości co do historycznych prawd rozstrzyga większość parlamentarna brawurowym podnoszeniem rąk skrywanych w politycznych rękawicach. Nadal więc żyjemy w ułudzie cyfrowanej formalizmem.
Im dalej od Verdun, tym większy wysyp legend o naszych zasługach. Dotąd nie znaleziono cedzaka oddzielającego realność daru niepodległości od naszej werbalnej niezwykłości. Ta ścieżka prowadzi do absurdu, że oto nieistniejące państwo rozprawiło się z potęgą trzech zaborców. Taka wizja nie jest też obca współczesnym patriotom, którym trudno się oswoić z ówczesnymi realiami, że była to nade wszystko kalkulacyjna łaskawość innych. W tych rozkojarzonych uniesieniach z trudem przychodzi przywoływanie na pamięć pragmatycznych zasług w przywracaniu niepodległości przez adwokatów tej sprawy skupionych wokół Komitetu Narodowego Polskiego (1917-1919). Tak kiedyś, jak i dzisiaj cierpimy na deficyt wrażliwego osądu. Kliniczny to przykład politycznego napuszenia pozostającego w przekorze do konsolidowania narodu. Radość niepodległości przytłoczyły rozterki.
Tak, jak w międzywojniu, tak i dzisiaj, władze państwowe pozostają bezradne wobec formuły świętowania daru niepodległości z 1918 roku. Gorzej, bo proces partykularnych odrębności oddawania hołdu tamtej sprawie się utrwala. Jakże inaczej można przykładowo ocenić to, że w tym roku, poza niezależnymi od siebie prezydenckimi oraz partyjno-rządowymi uroczystościami, nie licząc kościelnych, w samej tylko Warszawie miało miejsce piętnaście autonomicznych manifestacji o nieprzecinających się marszrutach, ale prewencyjnie strzeżonych przez policyjne siły, aby nie doszło do wojowniczych integracji. Mało to budujący obraz oddawania hołdu podarowanej nam niepodległości. Różnorodność form okazjonalnego czczenia, to zdawałoby się demokratyczna rzecz, pod warunkiem, że nie usiłujemy nicować wspólnego mianownika suwerenności. Dzieje się to wprawdzie w naszej zagrodzie, ale świat nie zamyka oczu i skrupulatnie rejestruje te fakty, ot tak na wszelki wypadek z bezszelestną perspektywą ich wykorzystania, bynajmniej nie dla wzmocnienia naszej potęgi. Jest to truizm, ale wart powtarzania, bo niepodległość, to wrażliwy skarb, którego nie zawsze należycie strzeżemy. Ważne to w procesie postępującej globalizacji i nadrzędnością ustawodawstwa Unii Europejskiej nad krajowym.
Wzniosła jest więc inicjatywa prezydenta RP, wprawdzie niezłomnego, ale nieco zagubionego, także w formule obchodów. Usiłuje wybrnąć z tej matni i stanąć w roli gospodarza. Zapowiedział

więc, że już za dwa lata, tj. w setną rocznicę odzyskania niepodległości (2018 rok), obchody zostaną ujednolicone w swojej formie, a zapewnić to ma projektowana ustawa o Narodowych Obchodach Setnej Rocznicy Odzyskania Niepodległości RP. Oznacza to, że przyszłoroczne uroczystości będą jeszcze znaczone politycznymi i obywatelskimi fantazjami nie zawsze z sobą kompatybilnymi, ale rok później ma już zapanować narodowa zgoda wokół niepodległościowego faktu. Za sprawą urzędniczego formalizmu mają dobiec kresu stuletnie interpretacyjne rozterki wokół historii. Prostota rozumowania jest wymowna.
Zastanawia to, że nikogo dotąd nie olśniła myśl, aby administracyjnym gestem rozwikłać narosłe kontrowersje. Niechaj to będzie innowacyjny patent w obszarze rozwiązywania polskich socjologicznych problemów. Przedwcześnie nie wyrokujmy o pomyśle, ale też nie skrywajmy wątpliwości, bo warszawska Nowogrodzka, to ideowy azymut, także dla zachowań prezydenta RP, czego zresztą nie skrywa. Interesujące jest to, komu zostanie wypłacone honorarium za tę inicjatywę. Uzasadnienie do projektu ustawy jeży się od formalizmów, a już łączenie Odrodzenia RP z uświetnieniem przykładowo wojny polsko-bolszewickiej z 1920 roku implikuje dodatkowy ładunek emocji, wkraczając w święto Cudu nad Wisłą. Równoczesne czczenie tych wydarzeń to kolejne duchowe rozterki zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Oby stało się inaczej. Trwajmy wszak przy nadziei prowadzącej do społecznego konsensusu.

**Odświętne dylematy**

Wrześniowy ranek 1939 roku przerwał tamte niepodległościowe peregrynacje. Nie obroniliśmy państwa. Powody tego są roztrząsane po dzień dzisiejszy, a do poznawczego absolutu droga wydaje się odległa. Zawiłości wokół form czczenia swobody tej z 1918 roku zostały skomplikowane nowym wariantem niepodległości z maja 1945 roku. Tym razem była to decyzja Wielkiej Trójki, ze wskazaniem głównego mentora w określeniu nam parametrów obywatelskich wolności, ale również z jednoczesnym wpisaniem nas w poczet zwycięskich aliantów.
Część rodaków zamiast się radować uchronieniem narodu od ostatecznej zagłady, nie pogodziła się z przydzieloną mutacją niepodległości. Podjęła więc szaleńczą, mało roztropną spiskową walkę, poszerzając okupacyjną listę martwych i ciemiężonych rodaków. Byli w mniejszości, bo reszta przywracała normalność po straszliwej zawierusze. Im na pewno była odległa myśl o trzeciej wojnie światowej i fantazyjnym wybawcy na siwym koniu. Dzisiaj, co niektórzy, na przekór własnych biogramów, ten fakt kwestionują i usiłują ową kolejną łaskawość wielkich wobec naszej ojczyzny, przeistoczyć nieodpowiedzialnymi dywagacjami o rzekomo kolejnej okupacji trwającej po lata 90. ubiegłego wieku. Ale i ta ostatnia wyzwoleńcza data nie zaspokaja ambicji niektórych polityków. Nie jest im też po drodze z pokojową atmosferą Okrągłego Stołu. Tkają własną wersję genezy dzisiejszej Rzeczpospolitej, rutynowo podlewaną rusofobią i smoleńskim sosem, nie bacząc na sztuczność tych wątków. Ale cóż poradzić jeśli upaja się nimi nowogrodzki prezes, wspierany kordialnością przybocznych. Niebezpieczny to, bo egoistyczny zadatek pogłębiający już tak rozlegle społeczne rozterki, tym razem z ciążeniem ważkich wydarzeń.
W ostatnim stuleciu namnożyło się sporo zdarzeń wyciskających piętno na statusie naszego państwa. Emitowane impulsy nie zawsze trafiały w idealistycznie profilowane społeczne oczekiwania. Nikt spośród współczesnych nie ma jednak prawa manipulować tamtymi faktami, bo one zwyczajnie nimi są i pozostaną, tak jak przykładowo data i miejsce urodzenia każdego z nas, niezależnie od wezbranych wokół nich emocji. Można wprawdzie obudowywać metrykę legendami, tymi wzniosłymi, jak i okrytymi patyną uciemiężenia, ale to tylko manewry odbywane

w cieniu niezmienności pierworodnego zrządzenia losu.
Byłoby czymś chwalebnym, aby wreszcie, w historycznych rankingach niepodległościowych dat zaczął obowiązywać jeden etalon. Takie są społeczne oczekiwania i chyba spójne z polską racją stanu, jeśli w ogóle została w tym zakresie sformułowana.
Warto byłoby się zastanowić i nad tym, czy formułę świętowania niepodległości nie poszerzyć o rok 1945, a może i o 1989, kiedy to również nie wolno zapominać o udziale globalnych graczy w tym dziele. Byłaby to naturalna interpretacja skomplikowanej drogi stuletniego dochodzenia do parametrów dzisiejszej Rzeczpospolitej. Jest to ciąg wydarzeń niezależny od maniery ich opisywania. Chyba nie chodzi o wtopienie się w myśl Carla Schmitta, że nic lepiej nie jest opłacane, jak być ofiarą (Glossarium, 16.08.1950 r.). W tej malaturze, mimo wszystko, jest również miejsce na biel i czerń, ale zawsze trzeba pamiętać o tym, że każdy z tych kolorów to kompilacja wielu odcieni. Rzecz w tym, aby operowali nimi ilustratorzy stroniący od sarmackiego tygla i odporni na polityczne imponderabilia. Są to wprawdzie świątobliwe oczekiwania, ale z nadzieją na przełom w wyzwalaniu społecznych pokładów empatii.

* * *

Świąt mamy dostatek, a każdemu z nich towarzyszy eksplozja inwencji polityków pławiących się w ich celebrze. Wymarzona to przecież okazja do promocji własnej osoby. Egoizm wryty w płaskość zachowań, to tandetny budulec narodowej zgody. Gubimy się w kontrowersjach wokół form czczenia historycznych wydarzeń, zostawiając na uboczu ich żywotną doniosłość. Dotąd jednak nie zostało prawnie uregulowane pojecie święta państwowego (mamy ich siedem), jak i sposób obchodzenia każdego z nich, co Najwyższa Izba Kontroli uznała w 2005 roku za niedopatrzenie legislacyjne. Błądzenie jest wprawdzie ludzką rzeczą, pod warunkiem szlachetnych intencji w poszukiwaniu upragnionego wspólnego celu. Czy takim eliksirem na obywatelskie animozje stanie się wzmiankowany prezydencki urzędniczy formalizm? Prawdopodobieństwo spełnienia intencji niewielkie, a w przekorze może być zarzewiem kolejnych sporów. Miksowanie faktów pod przyjęte tezy, to nasza specjalność.
Wydaje się, że zamiast uciekać do wybiórczego formalizowania okazjonalnych narodowych radości, warto byłoby sporządzić rachunek sumienia i w zgodnym rytmie wydobyć ze świątecznych przesłań to, co wzmacnia narodowy monolit. Niełatwo być optymistą, bacząc na pokrętną, blisko stuletnią tradycję mało rycerskich bojów wokół modelu praktykowania rocznicowych obchodów niepodległości. Partyjni wojownicy niekiedy tak się tym upajają, że zaskakuje ich utrata suwerenności. Ale, jak przystało na bezrefleksyjnych twardzieli, po otrząśnięciu się, znów stawali w pierwszym szeregu, tym razem walki o kolejną niepodległość. I chyba tylko po to, aby po jej odzyskaniu ponownie w łokciowych szrankach rozczulać się nad modelem świętowania rzekomego sukcesu, zapominając o ważkiej roli obcych. Zawsze cierpi lud, który w historycznych doświadczeniach żywi i broni.
Dzisiaj rządzący wstąpili na fatalny trakt, selekcjonując – pod rozbieżnymi tezami – wydarzenia po I i II wojnie światowej, a także z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wszystko po to, aby stworzyć aurę samozadowolenia, marginalizując barwność palety społecznych zasług, w tym także geopolityczny kontekst ostatnich niepodległości. Nie wydaje się, aby zadufanych w sobie zwycięskich polityków schronił przed społecznymi pociskami wątpliwości półkolisty kształt sejmowej areny. Balistycy obawiają się rykoszetów w trakcie intelektualnego wzajemnego ostrzału. Sugerują dialog, aby nie uszkodzić parlamentarnej kopuły skrywającej, mimo wszystko, demokratyczne wartości.

Wydawało się, że wielosektorową energię drzemiącą w narodzie potrafimy skupić na budowaniu narodowej empatii i to nie tylko w obrębie geograficznych współrzędnych wyznaczonej nam macierzy, ale i rodaków żyjących w diasporze. Może wreszcie zstąpi narodowe przebudzenie, zwłaszcza, kiedy to rzuciliśmy rękawicę Unii Europejskiej, zaś wojenne wici ślemy wschodniemu mocarzowi i jednocześnie uniżenie prosimy zaoceanicznego guru o obronę naszych granic, jako że znów wkroczyliśmy na ścieżkę przedmurza Europy. Tym razem nie wiadomo przed czym.
Trudno zgłębić – pełen paradoksów – marsz naszych strategów ku potędze RP. Czyżby zdeprawowała ich mocarstwowa wizja, a społeczeństwo zaufało parasolowi ochronnemu w postaci obrony terytorialnej kraju wedle wzoru: 500 plus karabin? Wielu wyraża opinię, że owa algebra mogłaby się wpisać w skuteczny oręż, ale co najwyżej w ubiegłowieczną strategię przodków. Nastał czas inny, kiedy to o naszym losie waży dyplomacja, a mniej paradna musztra i otoczone powłoką wątpliwości bazy obcych wojsk na terytorium Polski.

***Janina Łagoda***